



MAKSIM
GORKI

Matka

 SAGA
EGMONT



MAKSIM
GORKI

Matka

 SAGA
EGMONT

Maksim Gorki

Matka

Tłumaczenie Halina Górska

Saga

Matka

Tłumaczenie Halina Górską

Tytuł oryginału *Мать*

Język oryginału rosyjski

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Copyright © 1907, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728367841

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Część pierwsza

I

Codziennie nad osadą robotniczą, w zadymionym, oleistym powietrzu, drżał i wył przeciągły gwizd fabrycznej syreny. Posłuszni jej wezwaniu wybiegali z małych szarych domków, niby wystraszone karaluchy, ponurzy ludzie nie zdążywszy orzeźwić snem zmęczonych mięśni. W chłodnym mroku szli po niebrukowanej ulicy ku wysokim, kamiennym klatkom fabryki — ona z obojętną pewnością siebie czekała na nich, oświetlając błotnistą drogę dziesiątkami zatłuszczonych, kwadratowych oczu. Błoto chlupotało pod nogami. Rozlegały się ochryple okrzyki sennych głosów, ordynarne, ze złością rzucane przekleństwa targały powietrzem, a na spotkanie ludziom płynęły inne dźwięki — jednostajny huk maszyn i warczenie pary. Ponuro i surowo majaczyły wysokie, czarne kominy, niby wzniesione nad osadą grube pałki.

Wieczorem, kiedy zachodziło słońce i na szybach domów ostatnim wysiłkiem zapalały się jego czerwone promienie, fabryka wyrzucała ludzi ze swego kamiennego wnętrza jak zużyty żużel. Znowu szli przez ulice zakopceni, z czarnymi twarzami, błyskając zgłodniałymi zębami i roztaczając wokół lepki zapach smarów. W ich głosach dźwięczało teraz ożywienie, a nawet radość — na dziś skończyła się katorga pracy, w domu czekała wieczerza i odpoczynek.

Fabryka połknęła dzień, maszyny wyssały z ludzkich mięśni tyle sił, ile im było potrzeba. Dzień został całkowicie wymazany z ludzkiego życia, człowiek posunął się jeszcze o krok ku mogile. Ale przeczuwał bliską rozkosz

odpoczynku, widział miły sercu obraz zadymionej szynkowni i był zadowolony.

W święta spali po dziesięć godzin, potem ludzie stateczni i żonaci wkładali swe najlepsze ubrania i szli na mszę łając po drodze młodzież za jej obojętność religijną. Z cerkwi wracali do domu, jedli pierogi i znowu kładli się spać do wieczora.

Nagromadzone od lat zmęczenie odbierało ludziom apetyt. Żeby móc jeść, pili dużo drażniąc żołądek palącą wódką.

Wieczorem spacerowali leniwie po ulicach. Kto miał kalosze, wkładał je nawet wtedy, kiedy było sucho, a kto posiadał parasol, nosił go z sobą, choćby nawet świeciło słońce.

Spotykając się mówili o fabryce, o maszynach, klęli majstrów, rozmawiali i myśleli tylko o tym, co było związane z pracą. Samotne iskry nieudolnej i bezsilnej myśli ledwie migotały w nudnej jednostajności dni. Po powrocie do domu kłócili się z żonami i często bili je nie szczędząc pięści. Młodzież przesiadywała w karczmach albo urzędowała w domach wieczorynki. Grali na harmonijkach, śpiewali sprośne i brzydkie piosenki, tańczyli, opowiadali ordynarne dowcipy i pili. Wyczerpani pracą ludzie upijali się szybko, a wówczas budziło się w nich niezrozumiałe, chorobliwe rozdrażnienie. Rozdrażnienie to domagało się ujścia. Skwapliwie chwytając każdą sposobność wyładowania tego niepokojącego uczucia, ludzie rzucali się na siebie o byle głupstwo jak rozwścieczone zwierzęta. Wybuchwały krwawe bójki, które kończyły się niekiedy ciężkim okaleczeniem, rzadziej zabójstwem.

W stosunkach między ludźmi dominującym uczuciem była przyczajona złość. Była ona tak samo zastarzała jak nieuleczalne znużenie mięśni. Ludzie przychodzili na świat z tą chorobą duszy, odziedziczoną po ojcach, która

towarzyszyła im jak czarny cień aż do grobu, pobudzając w ciągu całego życia do postępów odrażających w swoim bezcelowym okrucieństwie.

W święta młodzi zjawiali się w domu późną nocą, w podartej odzieży, zabłoceni i zakurzeni, z pokaleczonymi twarzami, ze złośliwą radością przechwalając się zadanymi towarzyszom razami — albo skrzywdzeni i wściekli, ze łzami obrazy w oczach, pijani, budzący litość, nieszczęśliwi i wstrętnei. Niekiedy chłopców do domu przyprowadzały matki albo ojcowie. Znajdowali ich gdzieś pod płotem na ulicy lub w szynku, pijanych do nieprzytomności; klęli ohydnie, bili pięściami miękkie, zwiotczałe ciała swych dzieci, a potem mniej lub więcej troskliwie układali je do snu, żeby rankiem, kiedy poprzez powietrze popłynie ciemnym strumieniem gniewny ryk syreny, obudzić ich znowu do pracy.

Klęli swe dzieci i bili je, ale w istocie pijaństwo i bójki młodzieży wydawały się starszym zupełnie normalnym zjawiskiem. Gdy ojcowie byli młodzi, tak samo pili i bili się, i ich bili tak samo ojcowie i matki. Życie nigdy nie było inne — płynęło mętym strumieniem równo i wolno, lata za latami. Krępował je nawyk myślenia zawsze o tych samych sprawach i wykonywania dzień w dzień tych samych czynności. I nikt nie miał ochoty spróbować, czy nie można by go zmienić na lepsze.

Czasem do osady przychodzili skądśi obcy ludzie. Z początku zwracali na siebie uwagę po prostu swoją obcością, potem wzbudzali lekkie, powierzchowne zainteresowanie opowiadaniem o swojej poprzedniej pracy, wreszcie tracili urok nowości, przyzwyczajano się do nich i przestawano dostrzegać. Z ich opowiadań jedno wynikało niezbicie: życie robotnika jest wszędzie takie samo. A jeżeli tak, to o czym tu rozprawiać?

Czasami jednak niektórzy z nich mówili o czymś, o czym nigdy nie słyszano w osadzie. Nie sprzeczano się z nimi, ale słuchano ich dziwnych wypowiedzi z niedowierzaniem. Słowa ich wywoływały w jednych tępe rozdrażnienie, w innych nieokreślony lęk, jeszcze innych niepokoił błąd ciemnej niepojętej nadziei; więc pili więcej, żeby odpędzić ten niepotrzebny, męczący niepokój.

Zauważywszy w obcym coś niezwykłego, mieszkańcy osiedla długo nie mogli mu tego darować i odnosili się do człowieka niepodobnego do nich z nieświadomą obawą, jak gdyby lękali się, że może naruszyć posępny i jednostajny bieg ich życia, ciężki wprawdzie, ale spokojny. Przywykli, że życie gnioło ich zawsze z jednakową siłą, i nie oczekując jakichkolwiek zmian na lepsze, uważali, że każda zmiana może tylko zwiększyć ucisk.

Od ludzi, którzy mówili o czymś nowym, mieszkańcy osady odsuwali się w milczeniu. Wówczas ludzie ci znikali odchodząc gdzie indziej, a ci, którzy pozostawali w fabryce, żyli w odosobnieniu, jeśli nie potrafili zlać się w całość z jednolitą masą mieszkańców osady...

Przeżywszy w ten sposób lat pięćdziesiąt, człowiek umierał.

II

Tak też żył ślusarz Michał Własow, zarośnięty, posępny, o maleńkich oczkach, patrzących podejrzliwie spod krzaczastych brwi, i niedobrym uśmiechu.

Był najlepszym ślusarzem w fabryce i pierwszym siłaczem w osadzie, ale zarabiał mało, gdyż zachowywał się grubiańsko wobec przełożonych. Nie było święta, żeby kogoś nie pobił. Nikt go nie lubił, ludzie się go bali. Próbowano rozprawić się z nim, ale bezskutecznie. Kiedy Własow widział, że nacierają na niego, chwycił w rękę kamień, deskę lub kawałek żelaza i szeroko rozstawiwszy nogi, w milczeniu oczekiwał wrogów. Twarz jego, zarośnięta od oczu po szyję czarną brodą, i włochate ręce budziły we wszystkich strach. Najbardziej lękano się jego oczu — małych, ostrych, wwiercających się w ludzi jak stalowe świderki; kto spotykał się z ich spojrzeniem, czuł, że znalazł się przed dziką, pierwotną siłą, która nie wie, co to strach, i gotowa jest bić bezlitośnie.

— No, rozchodzić się, dranie! — mówił głucho. Poprzez gęstą brodę błyskały duże, żółte zęby. Ludzie rozchodzili się warcząc tchórzliwie przekleństwa.

— Dranie! — rzucał za nimi krótko i w oczach jego błyskał ostry jak szydło uśmiech. Z głową wyzywająco podniesioną do góry szedł za nimi i podjudzał:

— No, kto chce śmierci?

Nikt nie chciał.

Własow mówił mało, a „drań“ było jego ulubionym słowem. Nazywał tak zwierzchników w fabryce i policję, używał go także, gdy zwracał się do żony.

— Nie widzisz, draniu, że portki podarte!

Kiedy Paweł, syn jego, skończył czternaście lat, Własowowi zachciało się jeszcze raz wytargać go za włosy. Ale Paweł wziął do rąk ciężki młotek i powiedział krótko:

— Nie rusz...

— Czego? — zapytał ojciec, przysuwając się groźnie do wysokiej i cienkiej postaci syna jak cień do brzozy.

— Dosyć! — powiedział Paweł. — Nie dam się więcej... — I zamierzył się młotkiem.

Ojciec popatrzył na niego, schował swoje włochate ręce za plecy i uśmiechając się krzywo, powiedział:

— Dobrze... — i ciężko westchnąwszy dorzucił:

— Ach, ty draniu...

Wkrótce potem oświadczył żonie:

— O pieniądze się do mnie nie zwracaj. Paweł cię wyżywi...

— A ty będziesz wszystko przepijał? — ośmieliła się zapytać.

— Nie twoja sprawa, draniu! Kochankę sobie wezmę...

Kochanki nie wziął, ale od tego czasu, przez dwa lata bez mała, aż do samej śmierci, nie dostrzegał syna i nie odzywał się do niego.

Miał psa, wielkiego i kudłatego jak on sam. Co dzień pies odprowadzał go do fabryki i co wieczora czekał na niego przed bramą. W święta Własow chodził od szynku do szynku. Chodził w milczeniu i jakby chciał odnaleźć kogoś, drapał twarze ludzi swym ostrym spojrzeniem. Pies cały dzień włóczył się za nim opuściwszy duży, wspaniały ogon. Do domu wracał pijany, siadał do wieczerzy i karmił psa ze swojej miski. Nie bił go, nie kłął, ale nie pieścił też nigdy. Po wieczerzy, jeśli żona nie zdażyła sprzątnąć natychmiast ze stołu, zrzucał naczynia na podłogę, stawiał przed sobą butelkę wódki, opierał się plecami o ścianę i głuchym, budzącym śmiertelną nudę i smutek głosem wył

pieśń przymykając oczy i szeroko otwierając usta. Zawodzące, brzydkie dźwięki plątały się w jego wąsach strząsając z nich okruszyny chleba. Ślusarz rozczesywał brodę i wąsy grubymi palcami i śpiewał. Słowa pieśni były jakieś niezrozumiałe, przewlekłe, melodia przypominała zimowe wycie wilków. Śpiewał, póki w butelce była wódka, potem zwał się bokiem na ławę albo opuszczał głowę na stół i spał aż do gwizdu syreny. Pies leżał obok niego.

Umarł na przepuklinę. Pięć dni, cały poczerniał, rzucał się na posłaniu zacisnąwszy powieki i zgrzytał zębami.

Niekiedy mówił do żony:

— Daj arszeniku, otruj...

Doktor kazał Michałowi przykładać kompresy, ale powiedział, że niezbędna jest operacja i chorego trzeba natychmiast zawieźć do szpitala.

— Idź do diabła! Sam umrę! Draniu! — zachrypiął Michał.

A gdy doktor odszedł i żona ze łzami zaczęła go namawiać, by zgodził się na operację, zacisnął pięści i pogroziwszy jej oznajmił:

— Jak wyzdrowieję, tobie będzie gorzej!

Umarł rano, gdy syrena wzywała do pracy. W trumnie leżał z otwartymi ustami, ale brwi miał gniewnie ściągnięte. Chowala go żona, syn, pies, stary pijak i złodziej Daniło Wiesowszczykow, wydalony z fabryki, i kilku miejscowych żebraków. Żona płakała cicho i mało, Paweł nie płakał. Mieszkańcy osady spotykając na ulicy trumnę zatrzymywali się, zegnali i mówili jeden do drugiego:

— No, dla Pelagii to dopiero radość, że umarł!

Niektórzy poprawiali:

— Nie umarł, a zdechł...

Kiedy zasypano trumnę, ludzie odeszli, lecz pies został i siedząc na świeżej ziemi, długo, w milczeniu obwąchiwał mogiłę. Po kilku dniach ktoś go zabił...

III

W dwa tygodnie po śmierci ojca, w niedzielę, Paweł Własow przyszedł do domu pijany. Zataczając się, dowlókł się do pokucia ¹ i huknąwszy pięścią w stół, jak to robił ojciec, krzyknął na matkę:

— Wieczera!

Matka podeszła do niego, usiadła obok, objęła syna i przyciągnęła jego głowę do piersi. Paweł starał się ją odepchnąć odsuwając ręką jej ramię i krzyczał:

— Mamo, żywo!...

— Głuptasek z ciebie — smutno i łagodnie powiedziała matka pokonując jego opór.

— I palić będę! Daj mi fajkę ojca... — z trudnością poruszając nieposłusznym językiem bełkotał Paweł.

Upił się po raz pierwszy. Wódka osłabiła jego ciało, ale nie zgasiła świadomości i w głowie jego kołatało pytanie:

„Pijany? Pijany?”

Pieszczoty matki zawstydzwały go, smutek widoczny w jej oczach wzruszał. Chciało mu się płakać i żeby stłumić to pragnienie, udawał, że jest bardziej pijany, niż był.

A matka gładziła ręką jego spocone, splątane włosy i mówiła łagodnie:

— Nie powinienes robić tego... Nie trzeba...

Mdliło go. Po gwałtownym ataku wymiotów matka ułożyła go na łóżku i przykryła mokrym ręcznikiem jego blade czoło. Paweł otrzeźwiał trochę, ale wszystko dokoła kołysało się niby na falach, powieki mu ciążyły, w ustach

czuł wstrętny, gorzki smak. Patrzył przez rzęsy na dużą z bliska twarz matki i myślał bezładnie:

„Widać za wcześnie jeszcze dla mnie. Inni piją i nic, a mnie mdli...”

Skądś, jak gdyby z oddali, dochodził do niego miękki głos matki:

— Jakim opiekunem mi będziesz, jeśli zaczniesz pić?

Paweł zamknął oczy i powiedział:

— Wszyscy piją...

Matka ciężko westchnęła. Miała słuszość. Wiedziała przecież sama, że oprócz szynku ludzie nie mają innych uciech. Mimo to powiedziała:

— A ty nie pij! Za ciebie już ojciec wypił, ile trzeba. Dość mnie namęczył... Więc może choć ty pożalowałbyś matki, co?

Słuchając tych łagodnych i smutnych słów Paweł przypominał sobie, że za życia ojca matka była milcząca i niemal niedostrzegalna w domu i że żyła zawsze w trwożnym oczekiwaniu razów. Unikając spotkań z ojcem, mało bywał w ostatnich czasach w domu, odzwyczaił się od matki i teraz, trzeźwiejąc powoli, przypatrywał się jej z uwagą.

Była wysoka, nieco przygarbiona. Ciało jej, zmęczone długimi latami pracy i biciem, którego nie szczędził jej mąż, poruszało się bezszelestnie, cicho i jakoś bokiem, jakby bała się ciągle zaczepić o coś. Szeroką, owalną, nieco obrzękłą twarz, pociętą zmarszczkami, oświecały ciemne oczy, wylęknione i smutne jak u większości kobiet w osadzie. Nad prawą brwią miała głęboką bliznę, która podnosiła brew nieco ku górze; wydawało się, że również jej prawe ucho jest nieco wyższe niż lewe. Nadawało to jej twarzy taki wyraz, jakby zawsze nasłuchiwała czegoś lękliwie. W gęstych, ciemnych włosach błyszczały siwe pasma.

W całej postaci było coś łagodnego, smutnego i pokornego...

Po jej policzkach wolno płynęły łzy.

— Nie płacz — cicho poprosił syn. — Daj mi pić.

— Przyniosę ci wody z lodem.

Ale kiedy wróciła, już spał. Stała nad nim chwilę, czerpak drżał w jej ręku, a lód cicho uderzał o blachę. Postawiła czerpak na stole i w milczeniu uklękła przed obrazami. O szyby okien uderzały odgłosy pijackiej zabawy. W mroku i w wilgoci jesiennego wieczora piszczła harmonijka, ktoś głośno śpiewał, ktoś ordynarnie wymyślał. Lękliwie brzmiały rozdrażnione, zmęczone głosy kobiet...

Życie w małym domku Własowów popłynęło ciszej i spokojniej niż dawniej i nieco inaczej niż w całej osadzie. Dom stał na skraju osiedla, u podnóża niewielkiej, ale stromej pochyłości biegnącej ku błotom. Trzecią część domu zajmowała kuchnia i odgradzona od niej cienkim przepierzeniem maleńka izdebka, w której sypiała matka, pozostałe dwie trzecie — kwadratowa izba z dwoma oknami; w tylnej jej części stało łóżko Pawła, w przedniej — stół i dwie ławki. Kilka krzeseł, komoda na bieliznę, na niej maleńkie lustro, skrzynia z odzieżą, zegar na ścianie i dwie ikony w kącie — to było wszystko.

Paweł postępował tak samo jak każdy młody człowiek: kupił harmonijkę, koszulę z nakrochmalonym gorsem, jaskrawy krawat, kalosze i laseczkę. Chodził na wieczorynki, nauczył się tańczyć kadryla i polkę, w święta wracał do domu podchmielony i zawsze chorował z powodu picia. Rano bolała go głowa, męczyła zgaga, twarz miał bladą, apatyczną.

Pewnego razu matka spytała go:

— No cóż, wesoło było wczoraj?

Paweł odpowiedział z ponurym rozdrażnieniem:

— Nuda, że wyc się chce! Chyba będę ryby łowił. Albo kupię sobie strzelbę.

Pracował pilnie, bez spóźnień i kar, był milczący, ale jego błękitne, duże jak u matki oczy patrzyły z niezadowoleniem. Nie kupił sobie strzelby i nie łowił ryb, ale wyraźnie zaczął zbaczać z utartej drogi. Rzadziej uczęszczał na wieczorynki i chociaż w święta dokądś chodził, wracał jednak trzeźwy. Matka, która obserwowała go pilnie, zauważyła, że smagła twarz syna zaostrza się, oczy patrzą coraz poważniej, usta zaciskają się dziwnie surowo. Zdawało się, że w milczeniu gniewa się na coś albo że trawi go choroba. Dawniej przychodzili do niego koledzy, teraz nie zastawali go w domu i przestali się zjawiać. Matce było przyjemnie, że syn jej staje się niepodobny do fabrycznej młodzieży, ale gdy zauważyła, że ze skupieniem i uporem wypływa gdzieś w bok z ciemnego potoku życia, w duszy jej obudziło się uczucie niejasnej obawy.

— Może jesteś chory, Pasza? — pytała niekiedy.

— Nie. Jestem zdrow! — odpowiadał.

— Bardzo jesteś chudy — wzdychając mówiła matka.

Zaczął przynosić książki i starał się czytać je niepostrzeżenie, a przeczytawszy gdzieś chował. Niekiedy wypisywał coś z książek na karteczce i chował ją także...

Rozmawiali ze sobą mało i mało widywali się ze sobą. Rano Paweł w milczeniu pił herbatę i szedł do pracy. W południe zjawiał się na obiad, przy stole zamieniali ze sobą kilka nic nie znaczących słów i Paweł zniknął aż do wieczora. Wieczorem mył się starannie, jadł wieczerzę, a potem długo czytał swoje książki. W święta wychodził z rana i wracał późną nocą. Matka wiedziała, że chodzi do miasta, że bywa w teatrze. Ale z miasta do niego nikt nie przychodził. Wydawało się jej, że z biegiem czasu syn mówi coraz mniej, i jednocześnie

zauważyła, że niekiedy używa nowych, niezrozumiałych dla niej słów, a grubiańskie i szorstkie wyrażenia, którymi zwykł był się posługiwać dawniej, znikają z jego mowy. I w zachowaniu jego pojawiło się także dużo szczegółów zwracających uwagę: porzucił dawną fircykowość, a natomiast zaczął troszczyć się bardziej o czystość ciała i odzieży, poruszał się swobodniej i zręcznie, stał się zewnętrznie jakoby miększy, prostszy i wzbudzał w matce lękliwy szacunek. I w jego stosunku do matki było coś nowego: zamiatał niekiedy w izbie podłogę, w święta sam słał sobie łóżko i w ogóle starał się ulżyć jej w pracy. Nikt w osadzie tak nie postępował.

Pewnego razu Paweł przyniósł obraz i powiesił go na ścianie. Obraz przedstawiał trzech ludzi rozmawiających i idących dokądś lekko i śmiało.

— To zmartwychwstały Chrystus idzie do Emaus — objaśnił.

Matce podobał się obraz, pomyślała jednak:

„Chrystusa czcisz, ale do cerkwi nie chodzisz...”

Coraz więcej było książek na półce, którą zrobił Pawłowi kolega, stolarz. Pokój nabrał miłego wyglądu.

Paweł mówił matce „wy” i nazywał ją „mamo”, ale niekiedy nagle zwracał się do niej czule:

— Matko, nie niepokój się, proszę, wrócę dziś późno do domu...

Matce podobało się to, czuła w jego słowach coś poważnego i mocnego.

Ale obawa w niej rosła. Nie tylko nie stała się z biegiem czasu bardziej określona, ale coraz silniej nękała serce przecuciem czegoś niezwykłego.

Czasem w matce budziło się nagle niezadowolenie z syna. Myślała:

„Wszyscy ludzie jak ludzie, a on jak mnich. Za surowy na swoje lata...”

Czasem zastanawiała się:

„A może dziewczynę sobie znalazł?”

Ale na włóczenie się z dziewczętami trzeba pieniędzy, a Paweł oddawał jej prawie cały swój zarobek.

Tak upływały tygodnie, miesiące i niepostrzeżenie minęły dwa lata tego dziwnego, milczącego życia, pełnego niejasnych myśli i obaw, które ciągle się zwiększały.

IV

Pewnego razu po wieczerzy Paweł spuścił firankę w oknie, usiadł w kącie i zaczął czytać zawiesiwszy na ścianie nad głową blaszaną lampę. Matka zmyła naczynia, wyszła z kuchni i powoli zbliżyła się do niego. Paweł podniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

— Nic, Pasza! Ja tylko tak... — powiedziała prędko i odeszła, z zakłopotaniem poruszając brwiami. Stała chwilę nieruchomo na środku kuchni, zamysłona i zafrasowana, umyła starannie ręce i znowu wróciła do syna.

— Chciałam się ciebie spytać — powiedziała cichutko — co ty tak wciąż czytasz?

Paweł zamknął książkę.

— Usiądź, mamoo...

Matka ciężko usiadła na ławie, wyprostowała się i natężyła uwagę w oczekiwaniu czegoś doniosłego.

Nie patrząc na nią, niegłośnie, ale nie wiadomo dlaczego bardzo surowo, Paweł przemówił:

— Czytam zakazane książki. Zabraniają ich czytać dlatego, że mówią prawdę o naszym robotniczym życiu... Książki te drukuje się skrycie, w tajemnicy, i jeżeli je u mnie znajdą, wsadzą mnie do więzienia za to, że chcę poznać prawdę. Rozumiesz?

Matce nagle zabrakło tchu. Patrzyła na syna szeroko otwartymi oczyma i syn wydał się jej obcy. Miał inny głos — niższy, głębszy, dźwięczniejszy. Skubał palcami delikatny puszek wąsów i dziwnie, spode łba patrzył w kąt. Zrobiło się jej żal syna i zlekła się o niego.

— A po cóż ty tak, Pasza? — zapytała.

Paweł podniósł głowę, spojrział na nią i nie podnosząc głosu odpowiedział spokojnie:

— Chcę poznać prawdę.

Głos jego brzmiał cicho, ale twardo, w oczach błyszczał upór. Matka pojęła sercem, że syn poświęcił się na zawsze czemuś tajemniczemu i straszному. Wszystko w życiu wydawało się jej nieuniknione, przywykła od dawna poddawać się bez buntu, bez namysłu i teraz tylko zapłakała cichutko, nie znajdując słów w ściśniętym rozpaczą i troską sercu.

— Nie płacz! — powiedział Paweł czule i łagodnie, a matce wydało się, że się z nią żegna. — Pomyśl, jakie jest nasze życie. Masz czterdzieści lat, a czyś ty żyła? Ojciec bił ciebie. Teraz rozumiem, że mścił się na tobie za niedolę swojego życia. Życie gnębiło go, a on nie rozumiał, skąd ta niedola. Pracował w fabryce trzydzieści lat. Kiedy zaczął pracować, fabryka mieściła się w dwóch budynkach, a teraz jest ich siedem.

Matka słuchała go ze strachem, ale chciwie. Oczy syna błyszczały jasnym, pięknym światłem. Przysunął się do niej bliżej, oparł się piersią na stole i rzucał prosto w jej mokrą od łez twarz swoją pierwszą mowę o prawdzie, którą poznał. Z całą siłą młodości i żarem ucznia dumnego ze swojej wiedzy, święcie wierzącego w jej prawdziwość, mówił o tym, co było dla niego oczywiste — mówił nie tyle dla matki, ile po to, by skontrolować samego siebie. Chwilami milkł nie znajdując słów i wówczas widział przed sobą zasmuconą twarz i zamglone łzami dobre oczy. Oczy te patrzyły na niego ze strachem i zdumieniem. Było mu żal matki i zaczął mówić znowu. Teraz już o niej, o jej życiu.

— Jakich radości zaznałaś w życiu? — pytał. — Jakie masz wspomnienia z przeżytych lat?

Matka słuchała i smutnie kiwała głową czując coś nowego, nieznanego jej, żalnego i zarazem radosnego, coś, co koło jej zbolełe serce. Takie słowa o sobie, o swoim życiu słyszała po raz pierwszy. Budziły w niej one dawno uśpione, niejasne myśli, rozdmuchiwały wygasłe już a mgliste uczucia niezadowolenia z życia — uczucia i myśli odległej młodości. Mówiła o życiu z przyjaciółkami, mówiła długo i o wszystkim, ale przyjaciółki podobnie jak i ona skarżyły się tylko, nikt nie wyjaśniał im, dlaczego życie jest takie ciężkie i trudne. A oto teraz siedzi przed nią jej syn i to, co mówią jego oczy, twarz i słowa, chwyta za serce napełniając je uczuciem dumy z syna, który naprawdę zrozumiał życie swojej matki, mówi o jej cierpieniach, współczuje jej.

Matkom się nie współczuje.

Wiedziała o tym. Wszystko, co mówił syn o życiu kobiet, było gorzką, znaną prawdą; w jej piersi trzepotał kłębek nowych uczuć, coraz mocniej ogrzewając ją nieznaną pieśczętą.

— A co ty chcesz robić? — zapytała przerywając mu.

— Chcę się uczyć, a potem uczyć innych. My, robotnicy, powinniśmy się uczyć. Musimy dowiedzieć się, musimy zrozumieć, dlaczego nasze życie jest tak ciężkie.

Napełniało ją uczucie osobliwej słodczy, kiedy widziała, jak jego błękitne oczy, zawsze poważne i surowe, teraz płonęły łagodnie i czule. Na ustach jej pojawił się uśmiech cichej radości, choć w bruzdach policzków drżały jeszcze łzy. Doświadczała dwoistego uczucia. Była dumna z syna, który tak dobrze rozumiał niedolę życia, ale nie mogła zapomnieć o jego młodości i o tym, że mówi nie tak jak wszyscy, że sam postanowił wystąpić do walki z tym życiem, do którego przecie wszyscy — i ona także — przywykli. Miała ochotę powiedzieć mu: „Drogi mój, cóż ty możesz zrobić?”

Ale bała się, że zmąci to jej rozkosz lubowania się synem, który nagle wyrósł przed nią taki mądry... choć trochę obcy.

Paweł widział uśmiech na ustach matki, uwagę na twarzy i miłość w oczach. Zdawało mu się, że zmusił ją do zrozumienia swojej prawdy, i młodzieńcza duma z siły słowa podnosiła jego wiarę w siebie. Podniecony, mówił dalej, to uśmiechając się, to marszcząc brwi. Czasem w głosie jego brzmiała nienawiść i kiedy matka słuchała jego twardych, dzwoniących słów, była przerażona. Kiwała głową i cicho pytała syna:

— Czy to aby tak, Pasza?

— Tak! — odpowiadał twardo i mocno i opowiadał jej o ludziach, którzy pragnąc dobra dla ludu siali w nim prawdę, za co wrogowie życia ścigali ich jak zwierzęta, zamykali w więzieniach, zsyłali na katorgę...

— Widziałem takich ludzi! — wołał gorąco. — To najlepsi ludzie na ziemi.

W matce ludzie ci budzili strach i chciała znowu zapytać syna: „Czy to aby tak?”

Ale nie śmiała i zamierając słuchała opowiadań o tych niezrozumiałych dla niej ludziach, którzy nauczyli jej syna mówić i myśleć w sposób tak niebezpieczny dla niego. Wreszcie powiedziała:

— Wkrótce będzie świtać. Położyłbyś się, usnął...

— Tak, położę się zaraz — zgodził się syn. I pochyliwszy się ku niej zapytał:

— Czy zrozumiałaś mnie?

— Zrozumiałam — powiedziała westchnąwszy i z oczu jej znowu popłynęły łzy. Załkała i dorzuciła: — Zginiesz!

Paweł wstał, przeszedł się po izbie, potem powiedział:

— No, teraz wiesz, co robię i dokąd chodzę. Powiedziałem ci wszystko! I proszę cię, matko, jeśli mnie kochasz, nie przeszkadzaj mi...

— Mój ty gołąbeczku! — zawołała. — Może byłoby mi lżej, gdybym nie wiedziała o niczym!

Paweł wziął jej rękę i mocno ścisnął w swoich dłoniach.

W słowie „matko“ zabrzmiało tyle gorącej siły, że zadrżała. I ten uścisk ręki taki nowy i dziwny.

— Nie będę ci przeszkadzać — powiedziała urywanym głosem. — Tylko strzeż się, strzeż się!

A nie wiedząc, czego właściwie ma się strzec, dodała smutno:

— Chudniesz ciągle...

Objęła jego silną, zgrabną postać pełnym pieśczoćy spojrzeniem i rzekła prędko a cicho:

— Bóg z tobą! Żyj, jak chcesz, nie będę ci przeszkadzać. Proszę cię tylko o jedno, nie ufaj ludziom! Ludzi trzeba się bać, oni się wzajemnie nienawidzą. Są chciwi i zawistni. Są zadowoleni, jeżeli mogą wyrządzić zło. Kiedy zaczniesz ich oskarżać i sądzić, znienawidzą cię, zgubią!

Syn stał w drzwiach i słuchał jej żalonych słów, a kiedy matka skończyła, uśmiechnął się i powiedział:

— Tak, ludzie są źli. Ale kiedy dowiedziałem się, że na świecie istnieje prawda, ludzie stali się lepsi...

Uśmiechnął się znowu i ciągnął dalej:

— Sam nie wiem, jak to się stało. W dzieciństwie bałem się wszystkich, gdy podrosłem — zacząłem nienawidzić. Jednych za podłość, innych sam nie wiem za co — ot tak, po prostu! A teraz patrzę na ludzi jakoś inaczej, wszystkich mi żal, bo ja wiem? Nie rozumiem tego, ale serce mi jakoś zmiękło, kiedy dowiedziałem się, że nie wszystkich winić można za brud, w którym żyją...

Zamyślił się, jakby przysłuchując się czemuś w sobie samym, a potem w zadumie dodał półgłosem:

— Oto co mówi prawda!

Matka spojrzała na niego i powiedziała głośno:

— Niebezpieczna zaszła w tobie zmiana! O Boże!

Kiedy położył się i zasnął, matka ostrożnie podniosła się ze swego posłania i cicho podeszła do niego. Paweł leżał na wznak i na białej poduszce wyraźnie rysowała się jego smagła, uparta i surowa twarz. Przycisnąwszy ręce do piersi, bosa, w koszuli, stała obok jego łóżka. Wargi jej poruszały się bezdźwięcznie, a z oczu jedna za drugą płynęły duże, mętne łzy.

I znowu żyli w milczeniu, dalecy i bliscy sobie.

V

Pewnego razu w środku tygodnia, było to święto, Paweł wychodząc z domu powiedział do matki:

— W sobotę będą u mnie goście z miasta.

— Z miasta? — powtórzyła matka i rozplakała się nagle.

— No i dlaczego ty, mamo? — z niezadowoleniem wykrzyknął Paweł.

Matka wytarła twarz fartuchem i odpowiedziała wzdychając:

— Nie wiem, tak jakoś....

— Boisz się?

— Boję się! — wyznała.

Pochylił się nad nią i zajrzawszy jej w twarz, ze złością — zupełnie jak ojciec — powiedział:

— Przez ten właśnie strach wszyscy giniemy! A ci, którzy nami rządzą, korzystają z naszych obaw, by jeszcze więcej nas zastraszyć.

Matka zaszłochała żałośnie:

— Nie gniewaj się! Jakże nie mam się bać? Całe życie w strachu przeżyłam, cała dusza strachem mi obrośla!

— Wybacz, inaczej nie można! — powiedział ciszej i łagodniej.

I wyszedł.

Przez trzy dni w matce drżało i zamierało serce, ilekroć przypomniawszy sobie, że do jej domu przyjdą obcy, straszni ludzie. To oni wskazali jej synowi nową drogę.

W sobotę wieczorem Paweł przyszedł z fabryki, umył się, przebrał i wychodząc dokądś znowu, powiedział nie patrząc na matkę:

— Jak przyjdą, powiedz, że zaraz wrócę. I proszę cię, nie bój się...

Matka bezsilnie opadła na ławkę.

Syn spojrzał na nią posępnie i zaproponował:

— Może byś... wyszła gdzie?

Uraziło ją to. Przecząco potrząsnęła głową i powiedziała:

— Nie. Po co?

Był koniec listopada. Za dnia na zamarzlą ziemię spadł suchy, drobny śnieg i teraz słysząc było, jak skrzypi pod nogami wychodzącego syna. Gęsta ciemność przytuliła się nieruchomo do okien wrogo na coś czatując. Matka siedziała oparłszy się rękami o ławkę i wpatrzona w drzwi czekała...

Wydawało się jej, że w mroku skradają się ostrożnie ku jej domowi skuleni, oglądający się na wszystkie strony ludzie, dziwnie odziani i niedobrzy. Oto ktoś chodzi już naokoło domu obmacując rękami ściany.

Z oddali rozległ się gwizd. Wił się w ciszy wążutką strugą, smutną i melodyjną, błądził zadumany w pustce mroku, szukał czegoś, zbliżał się. I nagle urwał się pod oknem, jak gdyby przeniknął w belki ściany.

W sieni zaszurały czyjeś kroki, matka drgnęła, w naprężeniu uniosła brwi i wstała.

Drzwi się otworzyły. Do pokoju wsunęła się naprzód głowa w dużej, kudłatej czapie, a potem, zgiąwszy się, wolno przelazło długie ciało; ciało wyprostowało się powoli, podniosło prawą rękę, westchnęło głośno i niskim, piersiowym głosem, powiedziało:

— Dobry wieczór!

Matka w milczeniu ukłoniła się.

— Pawła nie ma w domu?

Człowiek powoli zdjął futrzaną kurtkę, podniósł jedną nogę, strzepnął czapkę śnieg z buta, potem zrobił to samo z drugą nogą, rzucił czapkę w kąt i kołysząc się na długich

nogach, wszedł do pokoju, zbliżył się do krzesła, obejrzał je, jakby chciał się upewnić co do jego wytrzymałości, usiadł i zakrywszy dłonią usta ziewnął. Głowę miał okrągłą, gładko ostrzyżoną, wygolone policzki i długie, zwisające wąsy. Uważnie obejrzał izbę dużymi, wypukłymi oczyma szarego koloru, założył nogę na nogę i huśtając się na krześle, zapytał:

— Czy to wasza chata, czy wynajmujecie?

Matka, siedząca naprzeciw niego, odpowiedziała:

— Wynajmujemy.

— Marna chata! — zauważył.

— Pasza wkrótce przyjdzie, poczekajcie! — cicho poprosiła matka.

— Ja przecież już czekam — spokojnie powiedział długi człowiek.

Jego spokój, miękki głos i szczerą twarz dodawały matce odwagi. Człowiek patrzył na nią otwarcie i życzliwie; w głębi jego przezroczystych oczu paliła się wesoła iskierka, a w całej postaci, kanciastej, przygarbionej, o długich nogach, było coś zabawnego i budzącego sympatię. Miał na sobie błękitną koszulę i czarne szarawary wpuszczone w buty. Matka miała ochotę zapytać go, kim jest, skąd i czy dawno zna syna, ale nagle on sam zapytał zakołysawszy się na krześle:

— Któż to wam tak czoło rozbił, mateńko?

Powiedział to łagodnie, z jasnym uśmiechem w oczach, ale kobietę obraziło jego pytanie. Zacisnęła usta i pomilczawszy chwilę, z chłodną grzecznością rzekła:

— A wam co do tego?

Nieznajomy rzucił się ku niej całym ciałem.

— Nie gniewajcież się przecie! Nie ma o co. Ja zapytałem dlatego, że moja przybrana matka także miała skaleczoną głowę, zupełnie jak wy. Szewc, z którym żyła, rozbił jej czoło kopytem. Ona była praczką, a on szewcem. To już

potem, jak wzięła mnie za syna, znalazła sobie gdzieś tego pijaczną na swoje wielkie nieszczęście. Ale bił ją, mówię wam! Skóra na mnie cierpła ze strachu.

Matkę rozbroiła jego szczerość, a przy tym pomyślała, że może Paweł rozgniewa się na nią za szorstką odpowiedź daną temu dziwakowi. Uśmiechając się w poczuciu winy, powiedziała:

— Nie rozgniewałam się, ale tak jakoś nagle... zapytaliście się. Mężulek tak poczęstował mnie, daj mu, Boże, królestwo niebieskie! Czy nie jesteście czasem Tatarem?

Człowiek poruszył gwałtownie nogami i uśmiechnął się tak szeroko, że aż mu się uszy cofnęły do tyłu. Potem powiedział już zupełnie poważnie:

— Jeszcze nie.

Matka zrozumiała jego żart i wyjaśniła z uśmiechem:

— Wymowę macie jakby nierosyjską!

— Lepszą niż rosyjska — wesoło kiwnąwszy głową, powiedział gość. — Jestem chochoł² z Kaniowa.

— A dawnoście tutaj?

— W mieście mieszkałem około roku, a teraz, miesiąc temu, przeniosłem się do was, do fabryki. Dobrych ludzi tu spotkałem, waszego syna i innych. Zostanę tutaj... — mówił skubiąc wąsy.

Podobał się jej, a przy tym pragnęła odwdzińczyć się za słowa o synu.

— Może napijecie się herbatki? — zaproponowała.

— Nie będę przecież sam pił — odpowiedział wzruszając ramionami. — Kiedy się wszyscy zbiorą, wtedy może poczęstujecie...

Przypomniał znowu matce o jej obawach.

„Żebyż wszyscy oni byli tacy!“ — zapragnęła gorąco.

Znowu odezwały się kroki w sieni, drzwi otworzyły się gwałtownie, matka znowu wstała. Ale tym razem, ku jej

zdziwieniu, do kuchni weszła młoda dziewczyna, niewielkiego wzrostu, o prostej, chłopskiej twarzy, z grubym warkoczem jasnych włosów. Spytała cicho:

— Nie spóźniłam się?

— Ależ nie! — powiedział chochoł wyglądając z pokoju.
— Piechotą?

— Oczywiście! Wy chyba jesteście matką Pawła Michajłowicza? Dobry wieczór! Nazywam się Natasza...

— A po ojcu? — zapytała matka.

— Wasiljewna. A wy?

— Pelagia Niłowna.

— No, więc znajomość zawarta...

— Tak! — powiedziała matka odetchnąwszy z ulgą i przyglądała się dziewczynie z uśmiechem.

Chochół pomagał jej rozebrać się i pytał:

— Zimno?

— W polu bardzo. Wiatr...

Głos miała soczysty, dźwięczny, usta maleńkie i pełne, cała była okrągła i świeża. Rozebrawszy się, potarła mocno rumiane policzki małymi, czerwonymi od mrozu rękami i prędko weszła do pokoju, dźwięcznie stukając obcasami bucików.

„Chodzi bez kaloszy!” — przemknęło przez głowę matce.

— Ta-ak — przeciągnęła dziewczyna wzdrygając się — zziębłam... Och!... jak zziębłam!

— Zaraz, zaraz. Samowarek dla was nastawię! — powiedziała matka i pośpiesznie wyszła do kuchni. — Zaraz...

Wydało się jej, że już od dawna zna tę dziewczynę i kocha ją dobrą, współczującą miłością matki. Z uśmiechem przysłuchiwała się rozmowie w pokoju.

— Cóżes taki smutny, Nachodka? — pytała dziewczyna.

— Tak jakoś — cicho odpowiedział chochoł. — Wdowa ma takie dobre oczy i pomyślałem sobie, że może i moja

matka ma takie. Ja, widzicie, często myślę o matce i zdaje mi się zawsze, że ona żyje.

— Mówiliście przecież, że umarła.

— To przybrana umarła. A ja o prawdziwej... Zdaje mi się, że ona gdzieś w Kijowie na żebrzy chodzi. I wódkę pije. Że pijaną policjanci po twarzy biją.

„Ach ty biedaku!” — pomyślała matka i westchnęła.

Natasza zaczęła mówić o czymś cicho, prędko i gorąco. Znowu odezwał się dźwięczny głos chochoła:

— E, jeszczeście młoda, towarzyszeko, beczki soli jeszczeście nie zjedli. Urodzić trudno, ale wychować dobrego człowieka jeszcze trudniej...

„Widzisz go!” — pomyślała matka i zapragnęła powiedzieć chochołowi coś ciepłego, ale drzwi powoli otworzyły się i wszedł Mikołaj Wiesowszczykow, syn starego złodzieja Daniły, znany w całej osadzie odludek. Mikołaj, zawsze ponury, unikał ludzi i z tego powodu naigrawano się z niego. Matka zapytała go ze zdziwieniem:

— Czego chcesz, Mikołaju?

Mikołaj otarł szeroką dłońią ospowatą twarz o wystających kościach policzkowych i nie witając się zapytał głucho:

— Paweł w domu?

— Nie.

Mikołaj zajrzał do pokoju i wszedł mówiąc:

— Witajcie, towarzysze...

„Ten?” — nieprzyjaźnie pomyślała matka i zdziwiła się bardzo widząc, że Natasza serdecznie i radośnie wyciąga do niego rękę.

Potem przyszło jeszcze dwóch młodych chłopców, prawie wyrostków. Jednego z nich — o ostrych rysach twarzy, wysokim czole i kędzierzawych włosach — matka знаła; był to krewny starego fabrycznego robotnika Sizowa — Fiodor. Drugiego, gładko przyczesanego i skromnego, widziała